NA OKAZ!

Uprasza się numer ten zatrzymać i przeglądnąć go!

Rok III. Nr 19.

NOWY DZWONEK

PISMO LUDOWE.



MÓDL SIE i PRACUJ.

Prenumerata roczna: 1 złr. 50 ct. (W Niemczech: 3 marki)

Każdy, kto z góry złoży CAŁOROCZNĄ prenumeratę, ten otrzyma darmo jako premię: „KALENDARZ“ na rok 1896.

Rok III. Kraków 1 Listopada 1895. **Nr 19.**



Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi** rocznie: **3** złr.
półrocznie: **1** złr. **50** ct.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **5** mk.
W Ameryce rocznie: **2** dolary.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie,** ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi raz w miesiącu — dnia **1**-go.

Ważne doniesienie
i prośba do Szan. Czytelników!

Prenumerata na *Nowy Dzwonek* wynosić będzie, począwszy od Nowego Roku, to jest: w **roku przyszłym (1896-tym)** i nadal o **połowę** taniej niż było dotąd, czyli:

na cały rok tylko: **1 złr. 50 ct.**
na pół roku: 75 ct.

W *Niemczech* na rok: **3 mk.**
na pół roku: **1 mk. 50 fen.**

Kwartalnej przedpłaty przyjmować *nie* będziemy.

Kto nadeśle z góry **całoroczną** prenumeratę (1 złr. 50 ct.) otrzyma **darmo** jako premię:

„Kalendarz“ na rok 1896-ty.

Kalendarz ten wyjdzie w pierwszej połowie *grudnia* bieżącego roku, a więc kto chce go otrzymać jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia, niech nadeśle prenumeratę **jak najwcześniej.**

Nowy Dzwonek wychodzić będzie, jak obecnie: **raz w miesiącu** (dnia **1-go**) w zeszytach tej samej objętości t. j. **2** arkuszy druku, a nadto w *kolorowej okładce.*

Abyśmy **przy tak wielkiem zniżeniu** prenumeraty, mogli wyjść jako tako na swoje, czyli pokryć koszta wydawnictwa, potrzeba koniecznie, żeby się liczba prenumeratorów powiększyła,

dla tego uprzejmie prosimy życzliwych nam Czytelników, żeby zechcieli podać nam **adresy** osób im znajomych, które lubią czytać i prenumerować gazetki. Chcemy tym osobom przesłać *Nowy Dzwonek* na *okaz.*

Do dzisiejszego 19-go numeru dołączamy w tym celu osobne drukowane **kartki,** na których Szan. Czytelnicy niech raczą wypisać wyraźnie **imiona** i **nazwiska,** oraz **pocztę** i **miejsce zamieszkania** owych znajomych im osób.

Prosimy wypisać jak *najwięcej* takich adresów, a potem przysłać nam tę kartkę w **liście** opłaconym.

Każdy, kto nam zrobi tę przysługę, otrzyma za to jako nagrodę książeczkę pod tytułem: **„Uwagi nad Męką Pańską"**.

Prosimy raz jeszcze najuprzejmiej wypełnić dołączoną kartkę adresami dokładnymi na jednej i drugiej stronicy i nadesłać nam ją jak **najwcześniej,** ile możności za tydzień, a najpóźniej **do dnia 15 listopada** bież. roku.

Ktoby miał ochotę podać nam więcej takich adresów, jak ku temu jest miejsce na kartce, to niech nam o tem doniesie, a my prześlemy mu chętnie kilka takich kartek do wypełnienia adresami.

Redakcya „Nowego Dzwonka".

Dzień zaduszny.

(2 listopada).

Co to jest dzień zaduszny?

Jest to ów dzień, w którym Kościół katolicki obchodzi w cichem nabożeństwie pamiątkę wszystkich członków swoich, którzy w łasce i przyjaźni Boskiej z tego świata zeszli, lecz za małe przewinienia tutaj na ziemi nie odpokutowane, w czyścu cierpią. O uwolnieniu tych dusz z mąk czyścowych błaga Kościół Pana Boga w dniu zadusznym.

A wielkie są to męki, bo jak pisze *św. Augustyn* »Ogień ten (t. j. czyścowy) jest boleśniejszym jak wszystko inne, co człowiek w tem życiu cierpieć może«.

I to właśnie powinno nas pobudzić, byśmy duszom cierpiącym w ogniu czyścowym spieszyli z pomocą.

Św. Augustyn pisze i o tem także, w jaki sposób najlepiej można duszom w czyścu dopomódz. Oto jego słowa: »Przez modlitwy Kościoła św., przez zbawienną ofiarę Mszy św. i jałmużny, które się za dusze zmarłe ofiaruje, bez wątpienia przychodzimy im ku pomocy«.

Za jakie dusze mamy się najwięcej modlić?

Za dusze *wszystkich* zmarłych mamy się modlić, a zwłaszcza w dniu zadusznym, i dobre uczynki i jałmużny za nie ofiarować, bośmy wszyscy dziećmi jednej matki, jednego Kościoła św. tak my, którzy żyjemy jeszcze na ziemi, jak ci, którzy w niebie królują i ci, którzy w czyścu pokutują. Te 3 rodziny stanowią »świętych obcowanie« — jak nas uczy Wiara nasza święta.

Ponieważ atoli niektórym duszom więcej jesteśmy winni, inne znowu bardziej pomocy potrzebują, więc mamy się modlić: 1) za naszych rodziców, krewnych, przyjaciół i dobrodziejów; 2) za dusze tych, którzy najdłużej męki cierpią, albo jeszcze cierpieć mają; 3) za tych, którzy są najbliżej wybawienia; 4) za tych, którzy największe męki cierpią; 5) za tych, którymeśmy za życia co złego zrobili; 6) za naszych duchownych braci i siostry.

Kiedy zaprowadzone zostało coroczne nabożeństwo za dusze zmarłych?

Czas zaprowadzenia tego nabożeństwa nie da się z pewnością oznaczyć, ale to pewna, że sięga ono pierwszych wieków chrzescijaństwa.

Pisze *Tertulian* (w roku 160 po narodzeniu P. Jezusa), że chrześcijanie ówczesni każdego roku obchodzili pamiątkę za umarłych. W wieku zaś 10-tym opat zakonu Benedyktynów w Kluni św. Odylon nakazał, aby w kościołach klasztornych tegoż zakonu co roku dnia 2 listopada obchodzono pamiątkę zmarłych i w tym dniu odmawiano za nich modlitwy, odprawiano Msze św. i dawano jałmużny.

Nabożeństwo to wnet rozpowszechniło się w biskupstwach i zostało potwierdzonem przez Papieża Jana XIX-go.

Wybrano na tę pamiątkę dzień 2-go listopada, t. j. dzień najbliższy po uroczystości Wszystkich Świętych, aby nam przypomnieć, że nietylko mamy się radować z chwały i szczęścia tych braci, którzy są w niebie, ale pomyśleć też należy i o tych bliźnich, którzy za grzechy swoje jeszcze nie odpokutowali i w czyścu swego wybawienia czekają.

Przykład:

Nie płacz, ale módl się! Czcigodny biskup Tomasz z Kantimpré (we Francyi) opisuje o swojej matce następujące zdarzenie:

Opłakiwała ona ciągle śmierć syna swego. Pewnego razu miała sen, w którym widziała wielką liczbę młodzieńców, otoczonych jasnością. Za nimi, w znacznej odległości, spostrzega swego syna, wolno postępującego. Pyta się go, dlaczego na ostatku i w tak znacznem oddaleniu samotnie i powolnie idzie.

A on wskazując na worek ciężki, wiszący na jego plecach,

rzekł jej: »Droga matko, oto są łzy napróżno wylane przez ciebie przy śmierci mojej, które swym ciężarem przeszkadzają mi, bym się dostał prędzej do mego Boga i już zakończył męki czyścowe. Bogu ofiaruj łzy swoje, zgódź się z Jego wolą, postaraj się o ofiary Mszy św. — nie płacz, ale módl się, a uwolnisz mnie od tego ciężaru i prędzej stanę przed Bogiem«.

Zdania św. Ojców Kościoła.

Św. Augustyn pisze: »Kwapmy się modlić za umarłych, aby też oni kwapili się dopomódz nam do prędszego połączenia się z nimi w niebiesiech«. (S. Aug. d. 44. fr. in erem.)

Tenże Święty dalej tak mówi: »Jeżeli chcesz człowieku, aby Bóg zmiłował się nad tobą, zmiłujże się i ty nad swymi braćmi i siostrami cierpiącemi w ogniu czyścowym, bo miłosierni tylko miłosierdzie znajdą«.

Św. Ambroży: »Wszystko cokolwiek dla pożytku umarłych uczynimy, to będzie nam policzonem za zasługę i po zgonie wynagrodzonem zostanie«. (S. Anzelm. de offic.).

Jałmużna wspomaga umarłych i dającemu wielkie przynosi korzyści.

Święty Tomasz doktor Anielski, zaleca najwięcej jałmużnę dla oczyszczenia się z grzechów. »Jałmużna, mówi ten Swięty, posiada większą moc zadosyć uczynienia przed Bogiem, niżeli post«. Dla tego wielcy słudzy Boscy i wielcy Święci używali szczególnie tego sposobu dla ratowania umarłych.

Jednym z nich bez zaprzeczenia był świątobliwy Raban-Maur, pierwszy opat w Fuldzie, w IX wieku, potem Arcybiskup Moguncyi.

Ksiądz Tritemiusz, znakomity pisarz zakonu św. Benedykta, powiada, że Raban rozkazał prokuratorom swego klasztoru hojne czynić jałmużny ubogim. Jednakże jeden prokurator opactwa, imieniem Edelard, zbytecznie przywiązany do dóbr tego świata i mało się troszczący o ubogich, często odmawiał im wsparcia.

Święty Opat postanowił, oprócz tego za wspólną naradą, aby po śmierci każdego zakonnika posiłek jego przez dni trzydzieści dawany był ubogim na wsparcie duszy jego. Skąpy prokurator odmawiał tej jałmużny, albo odkładał jej dopełnienie poza dzień trzydziesty, pomimo starożytnej tradycyi zachowanej przez Grzegorza Wielkiego, który naznacza ten czas jako najwłaściwszy do wspomagania umarłych.

Zdarzyło się, że w roku 830, klasztor w Fuldzie dotknięty

był zarazą; przełożony i wielu zakonników umarło. Raban-Maur, pełen miłości dla tych ukochanych braci, wezwał Edelarda i przypomniał mu święty obowiązek dawania jałmużny za umarłych. »Staraj się, rzekł mu, aby nasze przepisy były wiernie zachowywane i aby posiłek każdego z braci naszych umarłych przez cały miesiąc dawany był ubogim. Jeżeli tego nie dopełnisz, obrazisz Pana Boga i pewno będziesz za to ukaranym«. Prokurator obiecał być posłusznym.

Ale, niestety, Edelard był skąpym. O jakaż to straszna namiętność, szczególnie w osobach Bogu poświęconych! Serce jego nieczułe na cierpienie bliźnich, ręka jego skurczona; nie dopełnił świętej powinności rozdawania jałmużny, a poddając się nierozsądnej bojaźni, aby nie zabrakło żywym, nie miał litości nad duszami swych braci; skrzywdził ubogich, odmówił wsparcia umarłym. Sprawiedliwość Boska nie zostawiła tego bez ukarania.

Jednego dnia, gdy obarczony interesami o późnej godzinie z latarką w ręku przebiegał salę kapitularza, ujrzał opata i wielu innych zakonników siedzących na swych miejscach. Wielce zdziwiony, nie może pojąć przyczyny tego zebrania w nocy; gdy przypatrując się uważniej, poznaje przełożonego i braci umarłych.

Niepodobna wyrazić jego przerażenia; cały struchlały stanął jak wryty, nie mogąc kroku postąpić.

Wtem przełożony i inni zakonnicy powstają, zbliżają się do niego, a zdjąwszy zeń suknię, poczynają go siec biczami, mówiąc: »Oto nieszczęsny, kara za twoje skąpstwo! Za trzy dni będziesz miał większą, gdy pójdziesz z nami do grobu. Wtenczas jałmużna dana za ciebie nam policzoną będzie, boś ty nas jej pozbawił«.

Potem wszystko znikło.

Edelard krwią zbroczony, ranami okryty, leżał bez przytomności na ziemi. Bracia idący po północy na modlitwę, znaleźli go w takim stanie. Na pół umarłego zaniesiono do sali dla chorych, gdzie był otoczony wszelkiem staraniem, jakiego wymagało jego cierpienie. Lecz biedny Edelard zaledwo mógł przemówić: »Poproście do mnie ojca Opata, zawołał; więcej ja potrzebuję lekarstwa duszy, niżeli ciała. Już ja nie wyzdrowieję!«

Jak tylko przybył Opat, wobec wszystkich zgromadzonych braci opowiedział swój straszny wypadek i prosił o święte Sakramenta, oświadczając żal serdeczny za grzechy swoje. Przyjąwszy z wielką pobożnością Ostatnie Namaszczenie, począł znacznie słabnąć i dnia trzeciego umarł, wśród modlitwy braci zakonnych i pocieszających słów Opata, który go zachęcał do ufności w miłosierdziu Bożem.

Rychło odśpiewano Mszę św. żałobną, rozdawano według zwyczaju jałmużnę ubogim, ale karanie mie miało końca. Umarły

pokazał się Rabanowi, blady, znędzniony, błagając litości. Opat przerażony tem widzeniem, pytał, jakby go mógł ratować? »Ach! odpowie biedna dusza, modlitwy naszego świętego zgromadzenia przyniosły mi ulgę; ale nie mogę być uwolnionym z czyśca, póki nie wyjdą z niego wszyscy bracia nasi, których moje skąpstwo, pozbawiło ratunku. Jałmużna za mnie dawana, na korzyść ich policzoną została, według wyroków sprawiedliwości Boskiej. Błagam cię mój ojcze, któryś dla mnie był tak dobrym, błagam cię o podwojenie jałmużny; tym sposobem miłosierdzie Boże uwolni nas z czyśca, ich pierwej, a potem i mnie«.

Raban-Maur przyrzekł i tak uczyniono. Drugi miesiąc zaledwo upłynął. Edelard ukazał się znowu, w białych szatach, otoczony jasnością, z wyrazem szczęścia na twarzy. Dziękował najczulej zgromadzeniu za miłość mu wyświadczoną i zapewniał, że w niebie będzie ciągle się modlił za swych dobroczyńców.

Ileż to pożytecznych uwag podaje nam ta historya? Widzimy najprzód, że biedne dusze czyścowe nie mogą sobie pomagać i że w tym razie Pan Bóg pozwolił im przyjść i ukarać winnego za nieczułość na ich cierpienia. Widzimy także, że Pan Bóg czasami dobre uczynki ofiarowane za jednych przenosi na drugich, według wyroków sprawiedliwości swojej i według zasług każdego. Naśladujmy także pobożnych zakonników w Fuldzie, którzy z wielkiego politowania nâd biednemi duszami czyścowemi, nieśli im zawsze pomoc chrześcijańskiej miłości.

O ucisku
jakiego doznają Polacy pod Moskalem.

(Ciąg dalszy i dokończenie).

Prześladowanie Kościoła rzymsko-katolickiego.

Trudno wyliczyć wszystkie gwałty, jakich się dopuszcza rząd rosyjski na Duchowieństwie katolickiem na Litwie, Żmudzi, w Królestwie Polskiem, na Wołyniu i Ukrainie.

O niektórych rozporządzeniach rządowych wydanych w celu uciemiężenia Kościoła katolickiego, jużeśmy wspomnieli w numerze 13-tym naszego pisma. Teraz przytoczymy jeszcze kilka przykładów.

W miasteczku Łyntupach, w gubernii wileńskiej był cmentarz katolicki wcale nieoparkaniony. Parafianie nie chcieli grzebać nieboszczyków na krawędziach cmentarza, lecz grzebali ich w środku cmentarza. Proboszcz miejscowy ks. Rauba kazał otoczyć cmentarz

murem, i na żądanie i kosztem rodzin wystawić po rogach cmentarza i wzdłuż muru kilka pięknych pomników kamiennych.

Po upływie lat pięciu, policya upatrzyła w tych pomnikach podobieństwo do kaplic i doniosła jenerał-gubernatorowi, że ks. Rauba urządził na cmentarzu Kalwaryę. Wskutek tego skazał jenerał gubernator księdza na 100 rubli kary.

Włościanie gminy Onikosty w gubernii kowieńskiej śpiewali w czasie pogrzebów polskie pieśni żałobne. Gdy się o tem dowiedział gubernator, wystósował zaraz zapytanie do tamtejszego Proboszcza ks. Ussela, dlaczego nie pouczył swych parafian, że śpiewać pieśni żałobnych po polsku przy pogrzebach nie wolno. Ksiądz Ussel wymawiał się, że takiego rozporządzenia nie zna, więc gubernator mu je przysłał i kazał podpisać na dowód, że ksiądz je czytał. Ksiądz nie podpisał, więc skazał go za to na 25 rubli kary.

W miasteczku Nalibokach, w gubernii wileńskiej, zaczęto budować nowy mur koło kościoła. Zaledwo rozpoczęto znosić wapno i cegły, zjechał naczelnik powiatu i uznał, iż cegły i robotnika dostarczono do budowy bezpłatnie. Doniósł o tem jenerał-gubernatorowi, a ten skazał Proboszcza ks. Sidorowicza na 100 rs. kary za to, że budował mur koło kościoła nie swym kosztem. Z tego widoczna, że rząd rosyjski wcale sobie nie życzy tego, aby katolik poświęcił na budowę kościoła choćby jeden dzień swej pracy, choćby jedną cegłę.

Takich i tym podobnych wypadków dostarcza niemal każdy dzień, a kary na księży i na parafian są coraz częstsze i sroższe.

Ostatnim aktem ucisku jest zamykanie czyli kasowanie kościołów, dokonywane jedynie w tym celu, aby katolików w ten sposób zmusić do przejścia na prawosławną wiarę i zapędzić ich do cerkwi schyzmatyckiej.

W ostatnich czasach dopuścili się Moskale więcej barbarzyńskiego czynu, bo wysadzili umyślnie dynamitem w powietrze kościół w Krożach, w którym przed 2 laty dopuścili się strasznej rzezi, mordując parafian za to, że nie chcieli pozwolić, by im kościół odbierano.

Coś podobnego nie dzieje się nawet w krajach muzułmańskich.

Stosunki szkolne.

Aby zruszczyć młodzież szkolną, rozpoczął rząd rosyjski od tego, że w roku 1869 wprowadził książki do nabożeństwa w języku rosyjskim i kazał zarządom szkolnym rozdawać je między młodzież.

Jedni katecheci zastósowali się do rozkazu rządowego, dru-

dzy nie. Pierwszych wynagradzano orderami i większą płacą, a drugich karano w różny sposób.

Od roku 1880 zaczęto zmuszać uczniów katolików do uczęszczania w tak zwane »galówki« czyli w święta dworskie na nabożeństwa do cerkwi prawosławnej, co jest przeciwne przepisom Kościoła katolickiego.

Wywołało to ze strony Duchowieństwa katolickiego opór. Biskup żmudzki zwrócił się do ministerstwa w tej sprawie, ale ministerstwo odpowiedziało, że władze szkolne postępują zupełnie prawnie.

Powstały wskutek tego częste nieporozumienia między katechetami katolickimi a dyrekcyami szkolnemi, a uczniowie zaczęli coraz ostrzej opierać się i zamiast iść w dnie galowe do cerkwi, szli do kościoła katolickiego. Za to wypędzano uczniów ze szkoły, a księży zamykano w klasztorze lub wywożono do Rosyi, Biskupowi zaś żmudzkiemu ks. Pallulonowi odebrano połowę pensyi.

Nie wystarcza Moskalom, że uczniowie katoliccy zmuszeni są chodzić do ich cerkwi, ale wymagają nadto od nich, by umieli na pamięć modlitwę za cara i to z książki schyzmatyckiej.

Kierownicy i inspektorowie szkół mają nadzwyczaj wielką władzę nad katechetami, taką, że nawet usuwać ich mogą, a na ich miejsce dają często nauczycieli prawosławnych i ci uczą religii dzieci katolickie.

Biskupi się opierają, ale rząd robi swoje.

Zakazano też uczniom Polakom rozmawiać *nawet prywatnie* między sobą po polsku, a wszystkie książki, rozumie się w języku rosyjskim napisane, ułożone są tak, aby uczniom obrzydzić Ojczyznę, a przyciągnąć ich do Rosyi. Rząd rosyjski używa więc szkoły nie ku oświacie, ale żeby Polaków przerobić na Moskali.

Taki jest obraz ucisku pod Moskalem. Na każdym kroku, gdzie i jak tylko mogą gnębią Moskale nasz biedny naród, a nawet Wiarę św. chcą mu gwałtem wydrzeć.

Dzięki jednak Bogu, zapędy ich nie odnoszą takiego skutku, jakiego pragną ci okrutni prześladowcy, szczególnie zaś *lud wiejski* stoi silnie przy Wierze katolickiej i modli się tak, jak się modlili jego ojcowie.

Dzieci wiejskie uczą się wprawdzie w szkole pieśni rosyjskich i modlitw rosyjskich, bo muszą — ale gdy wyjdą ze szkoły, śpiewają i modlą się w oczystym języku, a że w ludzie jest główna siła i zdrowie narodu, więc da Bóg, że dopóki lud polski będzie polskim i katolickim, to Moskale nic nam nie zrobią.

Matka i sieroty.

Legenda.

Smutno sierocie jest na świecie, choć się i szczęście jej przydarzy; czy troska jaka serce gniecie, czy uśmiech zjawi się na twarzy, lżej jest na duszy i weselej, gdy łzę czy uśmiech z kim podzieli.

A na cmentarzu pod mogiłą z żalu ojcowskie płacze serce i jeszcze z trumny się wyrywa i tęskni w grobu poniewierce i wyrwaćby się z niego chciało, choć w proch się sypie kość i ciało, by choć na chwilę krótką, jedną, zobaczyć swą sierotę biedną, gdy w ślubny wianek ustrojona przed ołtarz Pański pójdzie ona.

W grobie się ojciec taki skarży i tak się prosi Pana Boga, złożone na krzyż mając ręce:

— »O doloż moja, dolo sroga, za mąż tam idzie ma nieboga, a ja w czyścowej leżę męce i nie wiem, kogo jej wybrali, czy dobry posag dziewce dali, czy sieroteńka się nie żali!...

»Puść Ty mnie Boże mój, Bożeńku, niech się zawlokę pomaleńku, niech choć do chaty okiem rzucę, a potem znów na cmentarz wrócę!...

»Niech z czarną chmurą ja polecę, niech z błyskawicą choć zaświecę, niech z drobnym deszczem chociaż spłynę, lub niech mnie weźmie słonko jasne, bym chociaż spojrzał na dziewczynę i zoczył w dniu tym dziecko własne!...

»Trudno mi z grobu tego dociec, a jam to ojciec przecie, ojciec!...

Gołębim głosem z żalu grucha, a śmierć na grobie siedzi głucha i choć na litość jej się zbiera, mogiły ojcu nie otwiera.

* * *

Była sierota jedna śmiała, co aż do nieba wędrowała, weszła pod bramę marmurową i stała tam ze zwieszoną głową i długo tak pod progiem stała, aż Bóg ją spytał: czego chciała?...

A ona na to:

— Boże, Boże! przychodzę prosić na wesele.

I nuże błagać Boga czule, aby jej przysłał choć matulę, jeżeli sam już znijść nie raczy; więc Pan Bóg spojrzał dobrotliwie i rzecze do niej słów nie wiele:

— I sam nie przyjdę i matuli wrócić na ziemię nie pozwolę, ale ci przyślę na wesele szczęście i przyślę dobrą dolę!...

* * *

Nie zawsze jednak, o! nie zawsze taką odmowę Pan Bóg daje i przez umarłych ciemne kraje za łaską Maryi Panny nieraz zbiedzona dusza znajdzie drogę na ziemię, gdy potrzeba przynieść pociechę komu z nieba, albo przestrogę innym rzucić...

Przez grób nie wolno przejść i wrócić.

Było raz tak, że pod mogiłą w trumnie leżała matka jedna, śmiertelnym snem zmorzona wcześnie; sześcioro dziatek zostawiła...

Sierocy płacz słyszała we śnie i płacz ten w grobie ją obudził.

Słucha i słyszy w jednej chwili, że tam najmłodsze jej dzieciątko po nocy coś żałośnie kwili i że sierotki jej się żalą.

Jakżeż to matce słuchać w grobie i nie zapłakać choćby w trumnie!...

Więc ona żalem wielkim zdjęta, dźwignie swe wyschłe martwe ręce z świętym obrazkiem Maryi Panny i tak Przeczystej się Panience modlić zaczyna:

— »Panno święta, wszakżeś ty także matką była, wszakżeś kochała swego Syna, więc męką jego wskróś przejęta, wiesz, co to boleść jest matczyna. Tam się dziateczki moje skarżą, aż tu ich płacz mnie w grobie budzi, tak lamentują w swej niedoli... Uproś Panienko swego Syna niech mi odwiedzić je pozwoli!...

»Wszakżeś ty dziatek mych patronką, ulitujże się smutku mego, zanim na niebo wejdzie słonko — znijdę do grobu ciemnego, tylko mnie puść, ach puść do dzieci!... niech je utulę chociaż trochę, niechaj upomnę złą macochę — tylko mnie puść, ach puść do dzieci!«

Podparła wieko całą siłą, aż jej się samo otworzyło i wyszła z grobu o północku.

Przeszła przez wioskę po ciemności; psy jednak wiejskie ją poczuły i wyć zaczęły...

Idzie, idzie... doszła pod chatę wreszcie swoją, gdzie pod oknami malwy stoją i kędy stara grusza rośnie.

A z chaty dzieci jęk żałośnie na cichą nockę się wykrada.

Poznała chata ją mężowska, poznały wrota i dla zmarłej na ścieżaj same się rozwarły i skrzypiąc, jęły opowiadać nieboszczce o jej dzieci losach.

I stara grusza ją poznała, co stała tuż przy starych wrotach i także szmerem smętnym, cichym opowiadała o sierotach.

Weszła do izby zmarła matka, jakby cierniową przyszła drogą...

Spojrzy... na słomie jej sieroty z głodu i chłodu spać nie mogą.

Księżyc się przebił poprzez chmury i zalał blaskiem izbę całą.

Tylko stanęła w samym progu, najmniejsze dziecko ją po-

znało i wyciagnęło swe rączyny i chciało do niej pełzać samo, a inne z lękiem i nieśmiało wołały na nią: Mamo, mamo!...

A kiedy z nią się oswoiły nuż przed nią żale swe rozwodzić... najmłodsze nie umiało chodzić, średnie dzień cały głodne były, najstarsze pacierz zapomniało, a wszystkim źle, oj źle się działo!... Wyschłe rączęta, jako wióry, sześcioro wzniosło ich do góry i bose, nagie, głodne, drżące, ku niej garnęło się płaczące.

Taki ją przejął żal okrutny na widok tej gromadki smutnej, że odwróciła oczy łzawe i osunęła się na ławę; od łez nie mogła rzec i słowa.

Dopiero po niejakiej chwili, ocknęła się w niej znowu siła; więc wpierw najmłodsze nakarmiła i jako za żywota swego, jadła dziateczkom nawarzyła, główki czesała, liczko myła, a potem klękła z nimi razem, by zmówić pacierz przed obrazem i Boga pięknie przeprosiła, że te biedoty zapomniały modlić się bez niej przez rok cały.

— I odpuść Ty nam nasze winy! — mówiła, płacząc rozżalona, a za nią słowa te dzieciny szeptały, tuląc się do łona matki, co przyszła w odwiedziny z ciemnego grobu do ich chaty...

Za męża też się pomodliła, aby mu winy Bóg przebaczył i w łasce Swojej mieć go raczył. Tak utuliwszy sierót szlochy, poszła do łoża złej macochy i ze snu ją zbudziła sama... ta oniemiała z przerażenia.

Mówiła jej:

— Patrz, to ja stoję!... ja, matka, z grobowego cienia przyszłam do twego rzec sumienia: »Kobieto, szanuj dzieci moje!...«

Spojrzała smutno i surowo, skinęła potem ku niej głową i w drzwiach zniknęła ciemnej sieni.

A na podwórku psy zawyły...

Macocha spojrzy ledwo żywa — patrzy, a oto przed nią spływa w miesięcznym blasku Matka Boża i staje sama u jej łoża i w takie słowa się odzywa:

— Pomnij na nocy tej przestrogę, zmień serce, bowiem mówię tobie, że w dzieciach krzywdzisz matkę w grobie!... Zmień serce!... więcej rzec nie mogę.

* * *

Zniknęła jasność i widzenie, noc swoje znów zasłała cienie i tylko psy zdaleka wyły.

Duch matki wracał do mogiły.

KRÓL W KUMACH
czyli
litość wynagrodzona.

Zdarzyło się razu pewnego przed wielu laty, iż w jednej wsi za Krakowem nie bardzo daleko — pod wieczór jesienny deszcz się zimny opuścił, i wiatr powstał ostry.

Dziadek ubogi odziany łachmanami, obdarty i prawie bosy, drżący od zimna i głodu chodził od chałupy do chałupy, prosząc o przytułek na noc; ale nadaremno, bo wszędzie odmówiono mu gościnności zatwardziałem sercem, a biedny żebrak widząc, że w całej wsi nie znajdzie duszy litościwej, któraby się zmiękczyła nieszczęściem bliźniego, zamyślał puścić się jeszcze dalej przed nocą; ale gdzie się udać ma, tego sam nie wiedział, aż wychodząc spostrzegł już w samym końcu wioski chatę, w której nie był jeszcze, a która była najmniejsza i najuboższa w całej włosci.

Zbliżywszy się żebrak do drzwi, zapukał nieśmiało — gospodarz wyszedł i zapytał ubogiego, czego potrzebuje?

— Umieram z zimna i głodu — odpowiedział dziadek — proszę was, żebyście mnie przyjęli na noc.

— Ha! dobrze — odrzekł chłopek, biorąc go za rękę — ale nie bardzo, mój dziadku, będzie wam tu wygodnie; zastaliście mnie w wielkim kłopocie, kobieta moja jest chora, jej jęki spać wam nie dadzą całą noc — ale chodźcie, bo przynajmniej pod dachem będzie wam cieplej, i pożywicie się razem z nami, co Bóg dał.

To mówiąc wprowadził ubogiego do izby napełnionej dziećmi; w jednej kołysce spało ich dwoje; na piecu wązkim spało dwóch chłopców i dziewczynka czteroletnia — a dwie starsze klęczały, i modliły się za matkę, która leżała w komorze na łożu w ciągłych boleściach. Około niej siedziała babka, i starzy rodzice gospodarza.

— Zostańcie tu dziadku — rzekł poczciwy wieśniak — pójdę poszukać co na wieczerzą.

Wyszedł, i wkrótce powrócił niosąc kawał razowego chleba i trochę miodu praśnego — bo wtedy było dużo pszczół po świecie i najuboższy kmiotek miał kilka ulów; a ziemniaków ludzie nie znali jeszcze wcale.

— Oto — rzekł — wszystko co mamy, jedzcie w imię boskie z mojemi dziewczętami, a ja pójdę do mojej biednej żony.

Dziadek: O bodajby miłosierdzie wasze ku mnie, gospodarzu; przyniosło wam jak największe szczęście i błogosławieństwo nieba, ale mam nadzieję, że Bóg nagrodzi litość waszą i miłość ku bliźniemu, z którym dzielicie się chętnie ostatnim kawałkiem chleba!

Chłopek: Mój dziadku! proście jeno Pana Boga o zdrowie mojej Hanki, bo tego najbardziej pragnę.

Dziadek: A więcej nic wam nie brakuje? jesteście szczęśliwi?

Chłopek: A czemużbym nie był! choć ta trochę i dużo mam dzieci, ale się żwawo chowają, i już się razem z człowiekiem przyzwyczaiły do biedy — mam żonę dobrą, ojców jeszcze zdrowych, a moja praca wystarczy jako tako przecie na wyżywienie ich wszystkich — przytem nie cięży też człowiekowi nic złego na sumieniu, dzięki Bogu!

To rzekłszy odszedł ubogiego, i poszedł do żony swojej, która w godzinę później powiła szczęśliwie syna zdrowego. Chłopek ucieszony wziął dziecię na ręce, i przyniósł je pokazać dziadkowi mówiąc:

— Oto ósme dziecko, którem mnie Bóg obdarza! niech go Bóg chowa tak zdrowo jak tamte! Patrzcie, jakie duże i czerstwe!

Dziadek wziąwszy dziecię na ręce wpatrywał się w nie długo, potem rzekł z dobrotliwym uśmiechem:

— Znam ja się gospodarzu na proroctwie, umiem czytać z oczu przyszłość; mógłbym przysiądz na to, że przyniesie wam to dziecko fortunę wielką, bo ma twarz szczęśliwą.

Chłopek rozśmiał się na tę wróżbę dziadka, odniósł dziecię do matki, przyniósł wiązkę słomy, rozesłał na ziemi, położył się sam, i ubogiego wraz zaprosił do siebie — później odwróciwszy się do ściany usnął smaczno.

Drzwi z komory były otwarte, gdzie przy chorej świecił się kaganek — w chatce głębokie panowało milczenie — ubogi nie mógł zasnąć — bo on na miękkiej przyzwyczajony był sypiać pościeli — podniósłszy się więc przypatrywał się spiącemu błogo poczciwemu ojcu i dzieciom jego, nareszcie tak zaczął przemawiać do siebie:

— Co za spokojność być musi w duszy jego, kiedy tak zasnął smaczno! bo jest cnotliwym i prostym człowiekiem. Kłopoty trapiące bogacza, ani wyrzuty sumienia zbrodniczego nie kłócą mu spoczynku. Sen jego jest mu rozkoszą i prawdziwem pokrzepieniem sił, bo jest snem niewinności.

Nie tak zasypiał występny Kain po zamordowaniu niewinnego brata swego; gdzie stąpił przekleństwo Boga szło za nim w ślady, w dzień radby się był schował przed światłem słonecznem, którego się wstydził. A w nocy zamiast spoczynku najokropniejsze zgryzoty sumienia i różne widma zasnąć mu nie pozwalały aż do końca smutnego żywota.

Zadziwicie się pomału Sz. Czytelnicy, zkąd w biednym, prostym i obtarganym dziadku, wzięły się takie piękne i rozumne

myśli? Zapytacie się, czy nie był on także jakim zbrodniarzem, złodziejem lub coś podobnego?

Że po takiej fatydze i zimnie, jakiego użył, nie mógł zasnąć tak smaczno, jak poczciwy kmiotek obok niego?

Na te więc pytania odpowiem wam: że dziadek ten nie był ani zbrodniarzem, ani żadnym złym człowiekiem, bo w takim razie nie miałby tak bogobojnych myśli; owszem był on jeden z najlepszych i najcnotliwszych ludzi, ale nie był z urodzenia żebrakiem, ale czemś wyższem — bo to był król polski *Kazimierz Wielki*[1]) przebrany tylko za nędzarza, którego powszechnie nazywano *królem chłopków* dlatego, że ich bardzo kochał, i wiele dla nich uczynił dobrodziejstw.

Zachęcał ich do rolnictwa i dobrej uprawy ziemi; wspierał ich radą i pieniędzmi, i bronił od pokrzywdzeń. Mieszkał w zamku krakowskim, a w lecie przesiadywał najwięcej we wsi Łobzowie ćwierć mili od miasta, gdzie piękny pałac wystawił — ztamtądto, gdy noc nadeszła, często lubił przebrany w suknie żebraka lub podróżnego wychodzić na wsie okolicy, ażeby mógł sam naocznie przekonać się o powodzeniu, uczciwości i potrzebach swoich dzieci, bo tak nazywał ulubionych sobie kmiotków.

Tak też zrobił był i tą razą. Doszedłszy do wsi, dworzanów swoich odesłał do pałacu łobzowskiego, a sam wstępował do domów dla przekonania się, czy też poddani jego wypełniają przykazanie Zbawiciela naszego: »Czyńcie ludziom, cokolwiek chcecie, aby i oni wam czynili«.

Ale jakże zakrwawiło się serce jego, gdy przeszedłszy całą wieś katolików, w jednej tylko najuboższej chacie znalazł litość dla nędzy i gościnność!

Tymczasem świtać zaczynało, a król Kazimierz ciągle udając żebraka pożegnał dobrego chłopka, a odchodząc tak mu powiedział:

— Ztąd idę prosto do Krakowa; tam znam pewnego dobroczynnego i miłosiernego pana, pójdę do niego, opowiem mu wiele dobrego o was, i spodziewam się, że go potrafię uprosić, ażeby wam nowonarodzone dziecko trzymał do Chrztu, tylko przyrzeknijcie mi, że poczekacie na mnie z chrzcinami, a ja tu najdalej do południa przybędę.

Chłopek nie bardzo uwierzył obietnicy żebraka, jednak przystał na żądanie jego. Obiecał czekać, a dziadek wziąwszy kij rzekł:

— Zostańcie tu z Bogiem — i odszedł spieszno.

Południe już minęło, a ubogi nie powracał; chłopek też widząc że go nie widać, a czas umówiony mijał, pomyślał sobie: zwyczajnie obieżyświat jakiś — spodziewał się, że jeszcze na od-

---

[1]) Kazimierz Wielki panował od roku 1333 do 1370 r.

chodne wykpi coś odemnie; miły Boże, jakto człowiekowi zawsze złem za dobre oddają! Ale mniejsza o to. Bóg widzi nasze chęci, nie dlatego dajemy ubogiemu kawałek chleba, żeby za to czekała nas nagroda, ale dlatego, że nie ma, a jest głodny; więc trzeba się z nim podzielić, tak to raz w Krakowie w odpust mówił ksiądz Pijar, na tem ślicznem kazaniu, co to ludzie tak płakali, pamiętasz Hanko? bo co do mnie, nigdy to już z głowy nie wyjdzie.

Tymczasem babka upowijała świeżo dziecinę, przyszli ojcowie chrzestni, i już zabierali się razem do kościoła, gdy usłyszeli turkot wielki, i spostrzegli przez okno jadących drogą przez wieś pełno bogatych i lśniących pojazdów i ludzi na koniach.

Wszyscy wybiegli przed dom, przypatrując się ciekawie świetnemu cugowi, a w ostatku przyszedł i stary ojciec gospodarza od łoża synowej, i spojrzawszy na jadących zawołał:

— Wiecie co to? Król nasz gdzieś przejeżdża; to podjazd samego monarchy, bom się mu nieraz napatrzył w Krakowie.

Zaledwo wymówił te słowa, powozy wszystkie zatrzymały się; a najbogatszy z nich poruszył trochę, i stanął przed ubogą chatą naszego poczciwego kmiotka. Jakże opisać podziwienie, które go przejęło, gdy bogato przybrani służebni drzwiczki powozu otworzyli, a chłopek ujrzał swego żebraka i gościa nocnego w ubiorze królewskim wysiadającego przed progiem jego domku.

Król zaś tak do niego mówił:

— A cóż poznałżeś we mnie twego dzisiejszego gościa obdartego dziadka?... Obiecałem ci ojca chrzestnego i dotrzymuję słowa; weź dziecię — pojedziemy do kościoła.

Wieśniak skamieniały, patrzał na króla z radością i bojaźnią razem, przyglądał się z podziwieniem bogatym jego szatom, kamieniom błyszczącym, które go okrywały, i otaczającemu go świetnemu orszakowi dworzanów. Trudno było mu uwierzyć własnym oczom, iż pod tym majestatem widzi tego samego nędzarza, z którym nocy przeszłej na jednej spał ociepce słomy.

Zaledwo więc rozkazem króla dał się nakłonić, by wsiadł z nim do pojazdu, gdzie nie wiedział biedak jak się ma ośmielić usiąść obok swojego monarchy, któren tak do niego rzecze:

— Wczoraj ty dopełniłeś obowiązku chrześcijańskiego miłosierdzia i ludzkości, dowiodłeś, że kochasz bliźniego jak siebie samego, bo podzieliłeś się z nim twoją ubogą wieczerzą i twardem posłaniem. Dzisiaj zaś przychodzę ja jako panujący dopełnić obowiązku mego to jest: słusznie wynagrodzić cnotę!... Zostawię cię w stanie twoim wieśniaczym, bo mu przynosisz chlubę, zostawię cię w nim dlatego, bo w innym nie byłbyś tak szczęśliwym i swobodnym, ale dam ci wszystko, czego ci jeszcze nie dostaje. Będziesz miał piękne bydło, trzody, sady, chatę wygodną i obszerną, ażebyś

łatwiej dopełniać mógł obowiązku gościnności i ludzkości. Także biorę na moje staranie dziecię, które się narodziło przy mnie, bo musisz pamiętać jeszcze, dodał z uśmiechem, co ci wróżyłem, iż ono przyniesie ci szczęście.

Kmiotek uradowany i przejęty wdzięcznością nie mógł nic mówić, łzami tylko dziękował dobremu królowi, któren podobnież rozrzewniony, wziął dziecię na ręce i sam trzymał go podczas świętego obrządku, a niechcąc go pozbawiać pokarmu macierzyńskiego, któren każdemu dziecku jest najzdrowszy, oddał go po Chrzcie wieśniakowi zalecając mu, aby natychmiast gdy podrośnie, przyniósł go na dwór jego.

Trzaska, bo tak nazywał się dobry i szczęśliwy chłopek, nie omieszkał dopełnić rozkazu królewskiego, jak tylko Kaźmirek mały od piersi został odsadzony.

Krol zaś kazał chłopaka wychowywać w swoim pałacu, dawać mu nauki, a ojca nie przestawał obsypywać dobrodziejstwami aż do śmierci. Z tego dziecięcia urósł światu później sławny kaznodzieja i kanonik Kazimierz Trzaska.

O chrześcijańskiem wychowaniu dzieci.

Rady dla rodziców.

Jak tłumić w dziecku uczucie zazdrości i nieżyczliwości.

Nie wszystkie dzieci mają równą skłonność do zazdrości i nienawiści. Jednych nie rozgniewa to wcale, czy tam siostrzyczka lub braciszek dostanie jabłko lub orzech więcej, drugie wciąż patrzą tylko a rachują raz, drugi i trzeci, czy które z rodzeństwa nie otrzymało chociaż odrobinę więcej, i zaraz się rozpłaczą, gdy spostrzegą najmniejszą różnicę między tem, co same otrzymały, a tem, co matka lub ojciec dał rodzeństwu.

»No, nie płacz, bądź cicho«, mówi w takim razie prawie każda matka, »oto masz jeszcze kawałek jabłka, czy chleba«, i daje mu w istocie więcej, aby tylko przestało płakać.

To wielki błąd! Na łzy, które płyną ze zazdrości, nie powinna matka zwracać najmniejszej uwagi, przeciwnie z całą surowością i powagą zakazać dziecku płakać. Przy takiej sposobności należy się dziecko pouczyć i wykazać mu jak brzydką przywarą jest zazdrość, która u dzieci powstaje nie tyle ze złości, jak więcej ze słabości umysłu.

Jest to rzeczą błędną dbać skrupulatnie zawsze o to, aby jedno dziecko nie otrzymało nigdy więcej, co drugie — znaczyłoby to tyle, co pobłażać zazdrości, zamiast ją tłumić i potępiać.

Przecież i Opatrzność Boża nie obdarzyła równo wszystkich ludzi, a jednak nie cierpi, by z tego powodu szemrano. I matka więc nie powinna ścierpieć tego, gdy dzieci mruczą ze zazdrości.

Dzieci powinny się nauczyć z całym spokojem przyjmować co im rodzice dają, trzeba je przyzwyczaić do tego, a wtedy zniknie u nich uczucie zazdrości. Przeciw zazdrości u dzieci trzeba występować z całą siłą, gdzie tylko można, bo zazdrość zatruwa serce i zabija wszelkie objawy najszczytniejszej cnoty chrześcijańskiej — miłości bliźniego.

Matka, której o to chodzi powinna jednak wystrzegać się dwojga rzeczy, mianowicie: 1) nie dawać pierwszeństwa jednemu dziecku przed drugiem, 2) nie mówić nigdy o drugich z urąganiem.

1) Gdyby matki wiedziały, jaką boleść sprawiają drugim dzieciom przez to, że jedne z nich otaczają większą miłością niż drugie i te drugie zaniedbują, zapewnieby się pod tym względem całkiem zmieniły. Ale słabość, którą niejedna matka czuje do swego ulubieńca, zaślepia ją, że nie widzi, jak niesprawiedliwe jej postępowanie zasiewa trujące ziarno nienawiści i zazdrości w sercach dzieci pokrzywdzonych i robi z nich nieznośnych, sprzecznych i nieszczęśliwych ludzi.

2) Chociażby zaś matka najtroskliwiej starała się o wykorzenienie zazdrości i nienawiści w serduszkach swych dzieci, to jednak, gdy sama o bliźnich mówić nie będzie inaczej, jak tylko z widoczną niechęcią i z urąganiem, natenczas na nic całe jej starania!

Weźmy taki przykład:

Jeden ze sąsiadów, któremu się dobrze powodziło, podupada skutkiem choroby, tak, że mu sprzedają wszystko co posiada, i dom, i rolę, i chudobę. W takich wypadkach nieraz słyszą dzieci z ust ojca lub matki te słowa: »Dobrze mu tak! zawsze tak zadzierał nosa, że nawet nie chciał mówić z nami; teraz niech sobie robi, co chce! Teraz my więcej od niego znaczymy«.

Od takich i tym podobnych mów zamierają u dzieci wszelkie szlachetne uczucia litości i współczucia, natomiast zaś rodzą się: nienawiść, zazdrość, nieżyczliwość i samolubstwo jak grzyby po deszczu.

Z tego wszystkiego wynika, iż rodzice sami muszą uważać na siebie i być ostrożnymi w mowie, jeżeli chcą swe dzieci wychować na porządnych, cnotliwych, szlachetnych ludzi.

Sami na sobie powinni rodzice poznać, że zazdrość jest nałogiem nietylko grzesznym, ale głupim i szkodliwym, bo zazdrośnikowi odbiera zadowolenie i napełnia goryczą życie. Ustrzedz tedy dzieci przed takim nałogiem, jest obowiązkiem rodziców. *Y.*

DOBRA GOSPODYNI.

Nie chwal żony w siedem dni
Ale w siedem lat! (Przysłowie).

— Trzeba mieć szczęście! — mówił młody mąż do starszego od siebie sąsiada. — Trzeba mieć szczęście... Moja żona, to mówię gospodyni, jakich mało. Rano wstaje, zwija się, porządku pilnuje, a przytem radośnie przyśpiewuje.

— Ej! młody ty mężu — z uśmiechem odrzeknie Wincenty — nie ciesz się naprzód, bo jeszcze nie wiesz, co dalej będzie.

— Jakże nie mam się cieszyć, owszem, rad jestem i bardzo dziękuję Bogu, że mam żonę pracowitą, spokojną, a pobożną. Ani u niej przekleństwa, ani złości nie znalazłem jeszcze, odkąd z sobą żyjemy.

— A dawno już po weselu?

— Będzie ze trzy tygodnie.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Wincenty na cały głos i zażył tabaki — czekaj, czy powiesz mi to za 3 lata.

— Obaczymy! załóżmy się, że powiem jak dziś: »Dobra gospodyni«.

Założyli się, rozeszli do domów, a lata mijały prędko, jak zwykle mijają miło tym, co pracują chętnie a są cierpliwi.

* * *

Po trzech latach wita się Wincenty z owym gospodarzem i pyta:

— Cóż, dobra twoja żona?...

— E! nie pytalibyście lepiej — odrzeknie ten ze smutkiem i zasłonił oczy ręką.

— No cóż? powiedz, w czem się zmieniła.

— Czy ja wiem? Dość, że ni w chacie ładu, ni w gospodarstwie dobytku, a co najgorsze, niema cierpliwości w niczem. O co bądź krzyku, złości, chałasu tyle, że choć z domu uciekaj.

— Nie mówiłem, nie chwal żony wcześnie. One to się umieją ułożyć z początku, potem dopiero wyjawiają swoje wady. Lecz od nas to, od mężów zależy, czy żona będzie zła czy dobra gospodyni.

— Jakto od nas? Co mówicie, Wincenty? Czyżbym ja miał być winien temu, że żona moja w domu zrzędzi na wszystkich, żadna sługa nie wytrzyma, dziecko się jej boi, sąsiadki nie lubią... czy to ja temu winien?

— Tak! Ale chodź, usiądziemy pod lipą i pogadamy o tem dłużej.

Poszli. Wieczór to był niedzielny, cichy i ciepły. Ludzie wra-

cali z nieszporów gromadkami, rozmawiając to o tem, to o owem, a niektórzy stanęli przy Wincentym, by go posłuchać. Znali go wszyscy, iż jest roztropnym wieśniakiem.

Po chwili Wincenty tak mówił:

— Jako od rodziców zależy wychowanie dziecka, tak od postępowania męża zależy to, czyli żona jego będzie dobrą, czy złą gospodynią. Który mąż roztropnie, delikatnie i szlachetnie stara się zaraz w początku ich pożycia wpływać tak na żonę, aby mu była posłuszna, zgadzała się zupełnie z nim we wszystkim, radziła się go czasem co do swoich prac, jemu zaś czasem swych rad udzielała, ten z pewnością powie po latach: jestem szczęliwy. Ale który zaraz po ślubie wychwala swoją żonę pod niebiosa i widzi w niej wszystko dobre, a nic złego, ten zyska to po czasie, że go żona zawojuje, zakrzyczy i dom miejscem kłótni uczyni.

Kobieta da się jak dziecko prowadzić i wychować. Ale jakże my nasze żony prowadzimy?

Jedni biją zaraz nazajutrz po ślubie i jak niewolnicę trzymają, drudzy chwalą i mądrość w niej widzą, a potem żalą się zapóźno.

Żona każda musi być gospodynią. Dobra żona jest dobrą gospodynią.

— Oj to prawda! święta prawda — szepnie jakiś gospodarz z boku, a inni dodadzą:

— Co złe, to zawsze złe, czy to dziewka czy kobieta, gospodyni czy sługa, z tego nikomu pożytku.

— Ale złe zawsze można poprawić — odpowie na to Wincenty i dalej ciągnie.

— Gospodarz, pojąwszy żonę, powinien się nad tem zastanowić, jakie obowiązki na siebie przyjmuje i porozumieć się z kobieciną zaraz, jak mają czynności swoje urządzić, aby życie było dobre, poczciwe, i ile można tu na ziemi szczęśliwe. Więc, gdy wejdzie młoda gosposia do chaty, powiedźcie jej: Słuchaj moja kochana! Mamy teraz we dwójkę iść drogą życia wspólnego. Niemożebne jest, by jedno poszło w lewo, drugie w prawo; jedno, jak powiadają, do Sasa, drugie do lasa; ale zawsze jedność i zgoda towarzyszyć nam ma; inaczej zamiast szczęścia znajdziemy łzy i smutek.

Powinnością naszą żyć jak Bóg żąda, więc modlitwa na pierwszem miejscu. Potem żadne z nas nie może się splamić czynem brudnym... bo twoja plama spada i na moje czoło, a mój błąd i na tobie już ciężyć będzie. Więc nie znajdzie się wśród nas grzech lenistwa, pijaństwa, złości, skąpstwa itd.

Człowiek żyje wśród ludzi. Jako z braćmi godzi się z sąsiadami, znajomymi i wszystkimi współrohakami zachować zgodę,

być dla nich uczynnym, zasługiwać u nich na szacunek, lecz i szanować ich, chociażby i ubodzy byli. Lecz nie dość na tem moja gosposiu młoda. My we dwójkę mamy pracować nad utrzymaniem naszego bytu, zabezpieczeniem się od niedostatku, a i o zebraniu trochę majątku na starość godzi się pamiętać.

Więc gdzie możemy, pracujmy razem, naprzykład na roli; ale gdzie to trudno, rozdzielimy się, ty masz gospodarstwo domowe, chatę, utrzymanie porządku, gotowanie jedzenia, staranną i czystą odzież, chowanie drobiu i innych zwierząt domowych, a ja biorę prace cięższe i trudniejsze. Żaden z nas niechaj nie narzeka, że ma za wiele. Dzielimy się równo, idźmy zgodnie, wykreślmy sobie plan, jak mamy pracować, a dobrze wszystko pójdzie

— Ślicznie to mówicie — rzeknie jakaś kobiecina młoda i ładna — ale to nie dla naszych mężów. Gdzie im tam takiej mądrości. Ot! ożeni się, to ożeni, a ani mu na myśl nie przyjdzie jak to z żoną ładnie i dobrze żyć można. Walnie ją dobrze pięścią, zaklnie, aż mrowie bierze słuchać, i swoje robi.

— Nie każdy tak — nie każdy...

— Ale też nie każdą żonę w 7 lat się gani i po 40 latach chwali — odpowie owa kobiecina.

Na to Wincenty po chwili:

— Że są u nas złe gospodynie, to prawda, że są i źli gospodarze mężowie, to także prawda, a to wszystko pochodzi od jednego. Ludzie mało myślą o swojem przeznaczeniu, o tem, by żyć pięknie i spokojnie, a częściej nawet nie umieją sobie odpowiedzieć na pytanie: Jak żyć należy?

Żyją bez planu. Gdybym stawiać miał chatę i nie pomyślał wprzód, jaką zrobię, ile w niej dam okien, ile drzwi, jak podzielę stancye, gdzie umieszczę kuchnię itd., jakażby ta chata była?

Ale życie to przepędzamy zupełnie bez planu.

Żeni się ten i ów. Ta i owa idzie za mąż.

Gospodarstwo nowe się otwiera, bodajby na jednej kurze, przy stołku i pościeli jednej... ale co tam w tem życiu ma być zrobione, co uniknione, jakie mają być cnoty, jakie czyny, czy kto wie?

— Bóg zapłać wam, Wincenty, za te słowa — zawołali słuchacze — pięknie mówicie... doprawdy, planu życia nie zakreślamy sobie, a to więcej potrzebne niż plan u chaty.

Wincenty uśmiechnął się mówiąc dalej:

— Dobry mąż nie będzie czekał lat parę na to, aby poznać wady żony, złościć się z nią i narzekać wiecznie, ale on zaraz w początku wspólnej drogi zakreśli jej plan; delikatnie będzie pracować, by złe jej skłonności wytępić, dobre mnożyć, a wtedy istotnie chlubić się będzie mógł swoją gosposią.

— Zdarza się często — dodał po chwili Wincenty — że małżeństwo jest nieszczęśliwe i gospodarstwo źle się wiedzie, mimo tego, że on poczciwy i staranny gospodarz, a ona pracowita i bogobojna gospodyni.

— Czemu?

— Bo robią szczerze i gorąco, ale nie zgodnie, nie zakreślili sobie planu, nie wiedzą, co, jak i kiedy zrobić mają, a ztąd nie idą razem, męczą się i smutno życie im mija. Żonę pojąć łatwo. Ale ją wychować na dobrą gospodynię, zrozumieć jakie są obowiązki gospodarstwa, aby szło wszystko składnie i miło, to trudno, i dlatego po naszych chatach często krzyki słychać, gospodarstwo się nie podnosi, dzieci źle są chowane.

— Lecz już czas do domu.

— Bóg zapłać! Bóg zapłać! wołano zewsząd, a gdy się rozeszli wszyscy, ów mąż żalący się przedtem, rzekł z cicha:

— Rozumiem teraz. Ganiłem żonę, a raczej siebie należało zganić. Żyliśmy nie jak małżonkowie, ale jak wrogowie. Lecz będę próbować... wspólna praca — plan jeden, zakreślony jasno, może mi wrócić szczęście, a wtedy powiem wam, czy istotnie mąż może wyrobić sobie dobrą gospodynię.

Mądry Maciek.

U pewnego gospodarza
Był do wołów Maciek Smalec,
Leniuch, jak się rzadko zdarza,
Chłop jak szopa, lecz ospalec.

Ledwie zdążył za wołami
Oglądał się, sapał, ziewał,
Uginał się pod cepami
I co chwila odpoczywał.

Za to nie był żaden inny,
Gdy do stołu zawołano,
Jak on szybki i tak zwinny,
Jak go nigdy nie widziano
Przy robocie; pierwszy siadał
A ostatni łyżkę składał.

Tedy rzekł raz pan do niego:
»Słuchaj Maćku! ale tego
Nie rozumiem; mówią bowiem:
Prędko jada i pracuje,

Zaś o tobie szczerze powiem:
Prędko jada a próżnuje.
Czemuś ty nie do obory
Równie jak do miski skory?«

Na to Maciek: »Jak możecie
Się też dziwić? Toć to przecie
Łatwa rzecz do zrozumienia.
Wszak kwadransik ledwie mały
Mamy czasu do zjedzenia,
Ale robić trzeba cały
Dzień od rana do ciemnoty.
Gdyby się zaś tyle miało
Czasu zjeść, co do roboty
Tożby wolniej się jadało...«

Czesław Lubieński.

W rocznicę rzezi Pragi.

W pierwszych dniach listopada roku 1794, a więc przed stu jeden laty, okropne zbrodnie działy się na Pradze, przedmieściu Warszawy, odzielonem od niej tylko mostem na Wiśle.

Kiedy w nieszczęśliwej dla nas bitwie pod Maciejowicami wzięli Moskale rannego Kościuszkę do niewoli, wojsko straciło ukochanego naczelnika, którego nikt nie mógł zastąpić. Powstanie narodowe zaczęło chylić się do upadku. Tymczasem 3 listopada 1794 r. generał moskiewski, Suwarów, na czele czterdziestu tysięcy carskiego wojska podsunął się pod okopy Pragi. Polacy z trudnością zebrali jeszcze 10 tysięcy wojska i poczęli bronić Pragi, a tu Moskale strzelają i strzelają, lecą niezliczone granaty i kule, co chwila bomby wpadają do miasta. Bronią się nasi, ile sił starczy: kobiety i dzieci pomagają żołnierzom, starzy słowem zachęcają walczących, którzy setkami padają na okopach. Ale nieprzyjaciel ma cztery razy więcej wojska! Więc zdobywa wał po wale, szaniec po szańcu, aż wyparł z Pragi polskie wojsko, które cofa się do Warszawy przez most, podpalając go za sobą, żeby w ten sposób ocalić resztę stolicy przed wtargnięciem wojsk moskiewskich. Nie wiedzieli oni, niestety, do czego zdolna posunąć się dzikość Moskali...

I oto straszna dla Pragi nastała chwila! »Pohulajcie sobie, pozwalam!« — krzyknął swoim Suwarów, a dzicz kilkudziesięciotysięczna rozbiegła się po ulicach, wszystko paląc i mordując, rabując każdego kto się pod rękę nawinął. Dla bezbronnych, jacy pozostali na Pradze, nie było ratunku. Z jednej strony most w ogniu, z drugiej rozwścieczony żołdak z szablą, z piką kozacką. Kto

zdołał ujść od okrucieństwa pijanego żołnierstwa, ten zginął w głębokich falach Wisły. Strzelając, rąbiąc pałaszami i kłując pikami, przeciągali kozacy wśród płonących domów. Siedząc na koniach, wlokli rannych za nogi, żeby ich obedrzeć, a potem pastwić się nad nimi bez litości. Kobietom obrzynano piersi, rozcinano brzuchy, a główki pochwytanych dzieci rozstrzaskiwali kozacy o mury domów.

Ci ludzie, stokroć gorzej niż dzicy rżnęli każdą żywą istotę, nie patrząc — czy to starzec, czy kobieta, czy dziecię. Dorosłych zabijali dla zabawki, a dzieci małe może z obawy, żeby mścić się nie mogły, jak urosną... Przez trzy dni stała Praga w płomieniach, dymie i we krwi potokach; dwadzieścia tysięcy bezbronnych wymordowano niewinnie.

Warszawa patrzyła bezradna na te okrucieństwa: widziała płomienie pożaru Pragi, słyszała jęki konających, krzyk boleści błagania mordowanych, dzikie okrzyki rozjuszonych cara żołdaków, a Wisła, krwią zaczerwieniona, niosła trupy sióstr i braci.

Po trzech dniach mordów i pożogi cisza grobowa zaległa nad Pragą, z której została kupa popiołów i gruzów, krwią zlanych.

Rzeź Pragi pozostanie wieczną hańbą dla moskiewskich generałów i oficerów którzy pozwolili żołnierzom pastwić się nad bezbronnymi. Rzeź Pragi pozostanie wiecznym wstydu i zbrodni pomnikiem dla rządu moskiewskiego, co za takie barbarzyńskie okrucieństwa nie karał, lecz nagradzał.

Jakże inaczej postępowali Polacy! Oto np. gdy w trzydzieści kilka lat po rzezi Pragi (w r. 1831) naród polski porwał za oręż, aby zrzucić jarzmo niewoli, to zwrócił go nie przeciw rosyjskiemu narodowi, ale przeciwko tyranom. Na chorągwiach swoich wypisywali wówczas Polacy: »Za naszą i waszą wolność!«

Pogadanki naukowe.

Co to są mgły i chmury?

Pewien chłopiec wiejski zapytany raz przez nauczyciela, co to są chmury, odpowiedział, że jest to dym, który unosi się z kominów i zbiera się później na niebie. Inny dowodził, że chmury powstają z kurzu, który wiatr porywa pod niebo... Najwięcej wszakże było takich, młodych i *starszych*, którzy na to pytanie odpowiadali: »a bo ja wiem, chmury to... chmury«.

Tak nierozumnie odpowiadają dzieci i temu nie ma się co dziwić; dziwniejszem jest to, że są po wsiach nawet i *starsi* ludzie, którzy nie wiedzą co to są chmury, a jeszcze mniej, jak się one tworzą i z czego powstają.

Otóż postaramy się bliżej tę sprawę wyjaśnić.

Trzeba naprzód wiedzieć, że powietrze, czy to w izbie, czy na dworze, nigdy nie jest zupełnie suche; zawsze posiada ono w sobie mniej lub więcej *wilgoci*. Ta wilgoć jest to woda rozpuszczona w powietrzu w postaci niewidzialnej pary wodnej.

Prosty rozum mówi, że w powietrzu musi być woda. Gdzie bowiem podziewa się naprzykład para wodna z garnka, w którym gotujemy wodę na ogniu? gdzie się podziewa para wodna z bielizny schnącej na płocie? z kamieni wysychających po deszczu? ze schnących błot, łąk, z nad stawów, jezior, rzek i tym podobnych miejsc, nad któremi widać zwykle opary? Wszystka ta woda unosi się w powietrze i rozchodzi się w niem w postaci drobniutkich, niewidzialnych cząsteczek pary wodnej.

Obliczono, że każde *sto* kwart powietrza, zawiera w sobie od 1 do 3 kwart pary wodnej. Zależy to od rozmaitych przyczyn, szczególnie zaś od ciepła; im bowiem powietrze jest cieplejsze, tem *więcej* nasiąka parą wodną, im jest zimniejsze, tem mniej wody może w sobie rozpuścić. Stąd, jeżeli powietrze wilgotne lecz ciepłe *oziębi się*, wówczas nie może już ono utrzymać w sobie tyle pary, co przedtem, w skutek tego przy oziębianiu wilgotnego powietrza cząstki pary niewidzialnej schodzą się ze sobą, zbierają się razem i tworzą większe kropelki wody, które stają się już dla nas widocznemi.

Przypatrzmy się kilku przykładom, które to, cośmy tu powiedzieli, stwierdzają najoczywiściej.

Każdemu z nas wychodzi przy oddychaniu para z ust razem z powietrzem. Latem jej nie widzimy, bo natychmiast rozchodzi się ona i rozpuszcza w ciepłem powietrzu. W zimie zaś tę parę widać doskonale w postaci kłębów mgły, wychodzącej nam z ust i nosa.

Albo i tak się zdarza. W zimie siedzą ludzie w izbie, gotują; oczywista, że z ich ust albo i z garnków zbiera się w powietrzu dużo pary, której jednak nie widać. Wtem ktoś otwiera drzwi od sieni i cała izba napełnia się od razu jakby mgłą.

Ta mgła jest to ta sama para wodna, która i przedtem była w powietrzu izby, lecz teraz gdy zimno weszło do izby, powietrze się oziębiło, zgęściła się i stała się widoczną.

W taki właśnie sposób, wskutek oziębienia się powietrza zbierają się niewidzialne cząsteczki pary wodnej w większe i widzialne kropelki wody i powstają **mgły** i **chmury** czyli obłoki na niebie.

Mgła przedstawia się jakby gęsty białawy dym unoszący się ponad ziemią. W lecie widzimy mgłę zwykle tylko nad łąkami, rzekami, jeziorami, wogóle nad miejscami wilgotnemi. Ukazuje się ona wieczorem, przy oziębieniu powietrza, może trwać przez noc, a rano, gdy powietrze ogrzeje się od słońca, znika.

Na wiosnę i w jesieni, gdy powietrze wogóle jest chłodne, tumany mgły unoszą się wszędzie nad ziemią, okrywając swym wilgotnym całunem pola i lasy, wsie i miasta. W niektórych krajach nadmorskich, mających powietrze bardzo wilgotne, panują mgły często i gęste niesłychanie. W Londynie naprzykład zdarza się niekiedy taka mgła, że wśród białego dnia trzeba zapalać latarnie gazowe na ulicach.

Podobnie gęste i uporczywe mgły zdarzają się też bardzo często w górach. Ta sama przyczyna, która na powierzchni ziemi wywołuje mgły, wytwarza wysoko na niebie **chmury** czyli «obłoki«.

Chmury składają się również z maleńkich kulek wodnych, które zebrawszy się w wielkie kłęby, bujają w powietrzu, a powstają tak:

Z nad powierzchni ziemi unosi się ciepłe powietrze nieustannie ku górze, a unosząc się zabiera z sobą wielką ilość niewidzialnej pary wodnej, jaka ulatuje nieustannie z nad mórz, jezior, stawów, błot, łąk, rzek, itp. miejsc.

Gdy to powietrze obładowane niewidzialną parą dojdzie do wysokości takiej, gdzie już jest znacznie zimniej niż na ziemi, wtedy para tego powietrza zgęszcza się, zbiera w drobne kuleczki wody, podobne do tych, z jakich się składa mgła nad powierzchnią ziemi.

Taką jakby mgłę, unoszącą się wysoko nad ziemią, zowiemy chmurą. Niedy chmura stoi na miejscu, najczęściej jednak zostaje porwana przez górne prądy wiatrów, które ją niosą daleko.

Jest jeszcze i inna przyczyna tworzenia się chmur, mianowicie: gdy powietrze ciepłe i wilgotne spotka się w górze z prądem powietrza zimnego, wówczas na granicy ich zetknięcia niewidzialna para się zgęszcza, skrapla i powstaje chmura.

Chmury mogą się tworzyć na różnej wysokości; w lecie tworzą się chmury wyżej, w zimie niżej nad ziemią. Rozciągłość chmur bywa rozmaitą, niekiedy, chmura zajmuje kilka mil na długość i szerokość.

Rozmaite także są *barwy* chmur i *kształty*. Najzwyklejsza jest barwa szara, lecz bywają chmury zupełnie białe, sine, żółtawe i prawie czarne.

Postać chmur jest różnorodną i tak przytem zmienną, że trudno ją określić. Patrząc na chmury widzi się, że przybierają one najdziwaczniejsze kształty: ludzi, zwierząt, okrętów, zamków, gór i t. d.

Jednak pomimo tej wielkiej rozmaitości w kształtach, uczeni zauważyli, że niektóre ich postacie powtarzają się częściej i te

przyjęli za główne, a mianowicie: są chmury *pierzaste*, *warstwowe* i *kłębiaste*, stosownie od tego tak zwane, jak na oko wyglądają. Z chmur powstają, jak wiadomo: *deszcz*, *śnieg* i *grad*, o czem pomówimy w następnym numerze.

Rady gospodarskie i lekarskie.

Żołądź jako pokarm dla kur. Jeden z doświadczonych gospodarzy pisze, iż żołądź (nasienie dębowe) nadaje się na wyborny pokarm dla kur. W tym celu żołędzie opadające lub strząsane z drzew w jesieni, zbiera się skrzętnie, wysusza na przewiewie powietrza i przechowuje w skrzyniach. W miarę zaś potrzeby opieka się potem w piecu piekarskim, lub na blasze kuchennej tak, aby się dały z łatwością z łusek obrać. Następnie czyste żołędzie rozdrabia się, a potem uciera na ziarnach. Z mąki tej zarabia się ciasto, robi placuszki wielkości i grubości dłoni i suszy takowe na wolnem powietrzu i w piecu.

Gdy się te placuszki daje potem do jedzenia kurom, to ma się następujące korzyści:

1) Mączka żołędziowa przyczynia się wielce do nośności u kur, co dla gospodyń jest wielkim zyskiem w gospodarstwie; ale chcąc mieć ten zysk, trzeba przytem trzymać kury w zimie i w jesieni w ciepłem miejscu i odłączone od kogutów.

2) Karmiąc tą mączką, czyli już placuszkami kury, nie daje się im same tylko placuszki, lecz się je dodaje do zwykłego pokarmu, a przedtem zwilża się placuszek ciepłą wodą.

Wodę do picia, gdy jest niedobrą, można naprawić sokiem cytrynowym. Na 1 litr wody daje się 1 gram tego soku, a po kwandransie w tem połączeniu woda nieczysta staje się zdolną do picia. Kwas cytrynowy niszczy wogóle niektóre grzybki mikroskopijne, i dlatego dobrze go używać do płukania gardła. Używają go także jako środek zapobiegający dyfteryi.

Na oparzenie skóry wybornym środkiem ma być maść zrobiona z owsianej mąki i słoniny. Kawałek czystego płótna smaruje się tą maścią i przykłada na oparzone miejsca. Maść ta nie dopuszcza tworzenia się pęcherzy, łagodzi ból i goi.

Drapanie w gardle, trudności w łykaniu albo chrypkę leczy się w ten sposób, że chory powinien siedzieć w domu, pić ciepłe mleko, płukać gardło wodą ze solą (łyżkę zwyczajną soli rozpuścić w kwarcie wody), a na noc niech weźmie kawałek płótna, złoży

we dwoje, zamoczy w zimnej wodzie, potem dobrze wyciśnie i przyłoży na szyję i z wierzchu niech jeszcze zawiąże suchą chustką, a to wszystko nie wcześniej zdejmuje aż nazajutrz. Gardło się przez to rozgrzeje i będzie choremu lepiej.

Rozmaitości.

Jakiej treści artykuły podawać będzie Czytelnikom nasz *Nowy Dzwonek* w roku przyszłym, to możecie poznać z numeru niniejszego. Zamiast »polityki«, która tylko jątrzy a nie wiele poucza, przynosi Wam *Nowy Dzwonek* i przynosić nadal będzie: *nauki religijne, powiastki ciekawe, wierszyki, opowiadania z dziejów ojczystych, pogadanki naukowe, oraz rady gospodarskie i lekarskie.*

Kto zaś ciekawy jest »nowin« różnych, to niechaj sobie zaprenumeruje oprócz *Nowego Dzwonka* drugie jakie pismo. Obecnie, kiedyśmy zniżyli przedpłatę po połowy, ułatwiliśmy Wam przez to zapisanie sobie i drugiego pisemka. Z tamtego dowiecie się co słychać w świecie, a w naszem znajdziecie naukę, i tak sobie jedno drugiem uzupełnicie.

Trafna odpowiedź. Obrazki przedstawiające św. Antoniego z Padwy i św. Antoniego Pustelnika wszystkim są znane. Na pierwszym widać obok Świętego, klęczącego osła, na drugim świnię. Pochodzi to ztąd, że po kazaniu św. Antoniego z Padwy o Najśw. Sakramencie, osieł ukląkł, podczas gdy niewierni z kazania w głos szydzili. Św. Antoniemu Pustelnikowi zaś ukazał się raz zły duch w postaci świni.

Pewnego dnia spotkało dwóch bezbożnych młodzieńców na ulicy zakonnika, który się nazywał Antoni, a który dla swej pobożności i dobroci serca znany był całej okolicy.

— Ojcze Wielebny — pyta jeden z nich — powiedz nam, którym Antonim rzeczywiście ojciec jest; czy tym z osłem, czy tym ze świnią?

— Eh, wiesz pan — rzecze ów zakonnik — to jest tak: jeżeli mówię z panem, to jestem Antoni z osłem, a jeżeli z panem (do drugiego), to jestem Antoni ze świnią.

Apteki w pociągach. Wszystkie pociągi na drodze żelaznej nadwiślańskiej w Rosyi, zostały zaopatrzone w apteczki pociągowe. Oddział pierwszy tych apteczek zawiera w sobie środki pomocnicze na wypadek nagłego zasłabnięcia którego z podróżnych. Oddział drugi, choleryczny, zawiera środki ratunkowe na wypadek zapadnięcia na cholerę, a w oddziale trzecim znajdują się przyrządy chirurgiczne. Apteki takie przydałyby się i u nas.

Swoim własnym dziadkiem jest jeden z mieszkańców Zjednoczonych Stanów Północnej Ameryi, niejaki Wilhelm Harman. Ożenił się on z wdową, która miała dorosłą córkę. W córce tej zakochał się jego ojciec i ożenił się z nią. W ten sposób ojciec Wilhelm był zarazem jego zięciem, a jego pasierbica jego macochą. Żona jego powiła syna, który był równocześnie jego wujem a jego ojca szwagrem, bo był przecież poprzednim bratem jego macochy. Macocha jego również powiła syna. Syn ów był przeto bratem Wihelma, a zarazem jego wnukiem, gdyż był synem jego pasierbicy. Żona Wilhelma była babką tego syna,

gdyż jest matką jego matki, a Wilhelm był równocześnie mężem swojej żony i jej wnukiem, bo był przecież synem jej zięcia i bratem jej wnuka, a że mąż babki jakiejś osoby jest tej osoby dziadkiem, przeto Wilhelm jest własnym swoim dziadkiem.

Ulice z dachami. Jeden z mieszkańców Londynu postawił w gazetach angielskich wniosek, aby ulice Londynu pokryć szklannemi dachami; a nie będzie wtedy na ulicach błota ni deszczu. Koszta tego przedsiębiorstwa powinni ponieść właściciele sklepów, bo takie dachy im najwięcej korzyści przyniosą. Ciekawa rzecz, czy ten pomysł będzie uskuteczniony.

Krótka ulica. Jedna z ulic miasta Berlina (w Niemczech), zwana: »Müllerstrasse« ma długości nie mniej ani więcej, tylko całe pół mili.

Pijaństwo wśród os. Nietylko człowiek ma pociąg do trunków i upicia się, bo i osy lubią się także upijać, jak to wykazał jeden z uczonych angielskich. Zauważył on, że osy lubią bardzo owoce przegniłe, w których znajdują się cząstki zmieniające się w alkohol, osy skosztowawszy takich owoców odlatują nawpół odurzone, padają na trawę i dopiero po dłuższej chwili otrzeźwiają się. Najzjadliwsze są ukąszenia os, właśnie kiedy osy są pijane.

Nauczka dla ojców miasta. Kobiety miasta Cincinnati w Ameryce, z odwagą i humorem dały rajcom miejskim nauczkę, która, na szczęście, w las nie poszła. Przed paru tygodniami sto kobiet w skromnych perkalowych sukienkach wyszło ze szczotkami i łopatkami na ulice miasta i poczęło je czyścić i zamiatać. Widzów zebrało się mnóstwo. Znoszono dzielnym kobietom jedzenie, które w południe spożyły, siedząc na schodach. O zachodzie słońca na głównych ulicach było czyściutko, jak w pudełku — po raz pierwszy od pół roku. Cel został osiągnięty: ojcowie miasta zawstydzili się i postanowili odtąd dbać o porządek ulic.

Rzemiosła na tronie. Jak w dawniejszych czasach, tak i dziś niektórzy z rodzin królewskich oddają się z zamiłowaniem rzemiosłom. Dwaj synowie następcy tronu szwedzkiego — jak piszą ze Sztokholmu — zajmują się codzień przez godzinę stolarstwem. Odpowiednie warsztaciki stolarskie otrzymali oni w podarunku od swych rodziców na kolendę. Podobnoś każdy z członków szwedzkiego domu królewskiego ma obowiązkowo uczyć się jakiego rzemiosła.

Jechał przez las żyd, który pożyczał pieniądze na bardzo wysoki procent, oszukiwał wielu, a nie dał się sam oszukać. Ale i na niego przyszła kolej Za krzakami schowany był dowcipny parobczak ze strzelbą w ręku. Wyskoczył nagle, wymierzył w piersi żyda i zawołał: »Kup sobie tę strzelbę za 10 złr., bo wystrzelę w tej chwili«. — Żyd przelękły i zbladły jak chusta, wyjął 10 złr., zapłacił za strzelbę, a wymierzywszy nią w piersi parobka, zawołał: »Oddaj zaraz 10 złr., bo wystrzelę!« — »Aha! zaśmiał się parobek wesoło — nie wystrzelisz, bo strzelba prochu nie widziała i nienabita.« I skoczył w krzaki z uśmiechem, a żyd zęby zacisnąwszy pojechał dalej.

Dziwaczne drzewo rośnie w Indyach. Drzewo to ma sześć do siedmiu stóp wysokości, a przy korzeniach jest trzy razy tak grube, jak człowiek, ale co najdziwniejsza, że samo świeci. Rzuca swój blask na dość daleką koło siebie przestrzeń i przy blasku tem można śmiało czytać nawet drobne pismo. Światło to pochodzi podobno z lekkiej guta-

perkowej cieczy, którą pokryte są liście, a inni znowu sądzą, że od robaczków, które żyją na liściach. Indyanie boją się tego drzewa i nazywają je »czarodziejskiem«.

Figle i żarty.

O chlebie i wodzie. *Ona:* Janie! pójdę za ciebie, choćbyśmy mieli żyć o chlebie i wodzie.

On: Dobrze, moja droga. Wystaraj się o chleb, a o wodę się nie bój, ja już sam się o nią postaram.

Czuły małżonek. *Żona:* Już mi cierpliwości brakuje. Teraz nawet już za dnia przychodzisz spity do domu.

Mąż: Bo, bo... moja duszko, nie chciałem cię już straszyć w nocy, więc upijam się już za dnia.

Wiele mówiący napis. Na cmentarzu pewnego miasta znajduje się nagrobek z takim napisem: Tu spoczywa N. N. — Żył on 26 lat jako *człowiek*, a 37 jako *małżonek*.

W Sądzie. *Sędzia:* Jesteście wy Jakób Wiadro?
Oskarżony: Tak jest, Panie Sędzio.
Sędzia: A tu, to wasza żona?
Oskarżony: Tak jest, panie Sędzio!
Sędzia: A ona jak się zowie?
Oskarżony: Milczy i namyśla się.
Sędzia: No, czyście jeszcze niedawno ożenieni?
Oskarżony: O kaj, już jakie 30 lat.
Sędzia: No, a jakżeż mówicie w domu do niej?
Oskarżony: »Staro!«

Odpowiedź Kuby. Pan inspektor zwiedza szkołę, a nauczyciel przy nim egzaminuje dzieci surowo i pomiędzy innemi pyta też Kubę: »Ile mamy dni w roku?« Ale Kuba milczy. — Widząc pan inspektor groźną minę nauczyciela, chce tego pouczyć, jak się to dziecko ośmiela i zadaje z uśmiechniętą miną Kubie to samo pytanie. Kuba jednakże znowu milczy. Pan inspektor chce przeprowadzić swoje i powiada: »Mój chłopcze nie powinieneś na to uważać, że ja tu stoję; wystaw sobie, że tu niema mnie, ani pana nauczyciela, a twój sąsiad Antek, pyta cię: powiedz mi też Kuba, ile mamy dni w roku? cobyś ty na to Antkowi odpowiedział?« Po krótkim namyśle odpowiada Kuba: »Co tobie, ośle, do tego!«

Wykaz ofiar

złożonych na restauracyę kościoła OO. Bernardynów w Leżajsku:

(Ciąg dalszy).

Najprzew. X. biskup Solecki ponownie 50 złr.; N. N. z Niepentu 20 marek; N. N. z Bierzyc, aby się dzieci zdrowo chowały, M. J. Olszewski z prośbą o dalszą opiekę, błogosławieństwo Boże i z podziękowaniem za doznane łaski, W. Czekaj z Umieszcza, Olechowska z prośbą

o wyzdrowienie męża z ciężkiej niemocy, M. Przychocka z podziękowaniem za wszystkie łaski i dobrodziejstwa, Tadzio ze Stanisławowa, R. P. ze Lwowa o zdrowie dla córki i spełnienie jej zamiarów po 1 złr.; Paulina Bylczyńska ze Lwowa, Deutschman ze Lwowa o zdrowie dla siostry Emilii, Teresa Steybal z Kołomyi, Ewelina z Morawskich-Dunin-Brzezińska, E. K. ze Lwowa, Julian Richter, po 2 złr.; E. Górski z Grybowa, Wydział Rady pow. w Jarosławiu, Rada pow. w Nowym Targu, M. z podziękowaniem za doznaną opiekę i poleceniem się opiece N. M. P., Gmina Niepla, Wydział Rady pow. w Borszczowie, Magistrat miasta Wadowic, Seweryoa Klimek z Ponikwy, Wilhelmina Opolska ze Lwowa, Ludwik Doliński z Nockowej o opiekę nad rodziną, Magistrat miasta Stanisławowa, Helena Kasparek z prośbą do M. B. o opiekę nad synem, Julia Skrzyńska z Rzeszowa po 5 złr.; X. Wróblewski z Górna, Wydział Rady pow. w Stanisławowie po 10 złr.; Gmina Jaszczwia 4 złr. 41 ct.; Kodłubiska 3 złr. 75 ct.; Gmina Łukawiec 14 złr. 50 ct.; Gmina Żarnowiec 2 złr. 47 ct.; Gmina Ujezna 9 złr. 57 ct.; Kończyska 5 złr. 38 ct.; Gmina Strażów 2 złr. 94 ct.; Józef Orzech z Terliczki 10 złr. 60 ct.; Gmina Siedleczka 12 złr. 40 ct ; X. Stefan Szymkiewicz z Warzyc od parafian 15 złr.; Włodzimierz Ławrowski ze Szczawnicy o zdrowie i błogosławieństwo dla rodziny 1 złr. 50 ct.; Placzek, sekret. gminy Sławęcina 3 złr.; Gmina Glinik 4 złr. 15 ct.; Gmina Jazłowiec i wydział Rady pow. w Starem mieście po 5 złr.

P. T. Dobrodziejom dziękując serdecznie za Ich hojne i szczere ofiary, ośmielam się zapewnić, że wdzięczność nasza z każdą chwilą się wzmaga, której nie będąc w stanie dostatecznie czy to żywem słowem czy pismem okazać, prosimy Boga przy każdej ofierze Mszy św. i w modłach prywatnych, by naszą niemoc w tym względzie zastąpił, wszystkie intencye P. T. Dobrodziejów za przyczyną Najśw. Panny wysłuchał i za hojność w ofiarach, hojnością błogosławieństw swoich odpłacać raczył.

Ks. Ł. Dankiewicz,
Gwardyan OO. Bernardynów w Leżajsku.

Ceny zboża w Krakowie.

(Z targu na Kleparzu dnia 22 października 1895 r.).

Płacono za pszenicę białą 7 złr. 35 ct. do 7 złr. 55 ct., za czerwoną 7 złr. 35 ct. do 7 złr. 45 ct., za żółtą 7 złr. 25 ct. do 7 złr. 45 ct. za żyto 6 złr. 50 ct. do 6 złr. 75 ct., jęczmień browarny 6 złr. 70 ct do 7 złr. 25 ct., za jęczmień na kaszę 5 złr. 60 ct. do 6 złr. — ct. owies 5 złr. 70 ct. do 6 złr. — ct., rzepak 9 złr. — ct. do 9 złr 25 ct., koniczyna czerwona — złr. do — złr., tymotka — złr. do — złr. wyka — złr. — ct. do — złr. — ct. Wszystko za 100 kilogramów.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.